

Wijuny

Nawet malkontenci nie mają powodu do narzekania: obficie obrodził tegoroczny sezon w rodzimą współczesną dramaturgię. W Poznaniu Roman Kordziński — wypełniając swe zobowiązania — oddał w roku jubileuszowym Teatru Polskiego scenę tę wyłącznie do dyspozycji polskich autorów współczesnych. Mamy już za sobą realizację „Okapi” Grochowiaka i nader udany spektakl „Ułanów” Rymkiewicza w reżyserii Józefa Grudy. W planach najbliższych — Sito i Iredyński, Abramow i Kraśkiński.

Także w Teatrze Nowym Izabella Cywińska wzięła na warsztat rzecz stemplowaną „made in Poland”: „Wijuny” Teresy Lubkiewicz-Urbaniowicz. Sztuka ta, drukowana w ostatnim ubiegłorocznym „Dialogu” i uhonorowana w 1974 nagrodą na konkursie debiutu w warszawskim Ateneum, miała dotąd za sobą jedynie próbę druku. Była w czytaniu interesująca, z mrocznym, niepokojącym klimatem, osadzona w realiach głębokich, wschodnich kresów; tu i ówdzie zderzonych z rekwizytami nowoczesności, co autorka w didaskaliach podkreśla wyraźnie. Miejscami tekst zdradza pewne filiacje z prozą Konwickiego, zwłaszcza z jego „Roistami” i „Sennikiem”, wszechobecny duch Dostojewskiego błąka się tu także. Ale poprzez tych literackich patronów przebijają jednak w tekście własna, osobista nuta, wsparta wspomnieniami wojennego dzieciństwa na białoruskiej wsi.

Cywińska, reżyserka prapremierowej realizacji, pozostała w zasadzie niemal całkowicie wierna autorce; żadnych prawie skrótów, zbyt wybujałych inscenizacyjnych wzbogaceń i uduwnień, których nota bene

w oryginale i tak nie brakuje.

— Cóż to takiego, te wijuny? — pyta sąsiad narzeczonego Antolki, Mikołaja, gdy ten powiada o płaczkach, że są „obrzydlive jak te wijuny” — Ja wiem? — zastanawia się Mikołaj. — Coś najgorszego, co może być...

Tropimy więc przez cały czas to wijunstwo, tę obrzydliwość, co tkwi głęboko w człowieku i ujawnia się w rozmaitych postaciach. Jest to rzecz o ludzkiej nienawiści, która nieustannie popycha do zbrodni. Śmierć otacza nas w tej sztuce. Cień kostuchy towarzyszy bohaterom we śnie i na jawie, aż do końcowej kurtyny. Śmierć tkwi głęboko w psychice Cyranka, głównego bohatera, który jest „jak kolczasty drut w środku”. Ją i główna jego zadra, determinująca jego postępowanie: stosunek do matki. Nienawiść przełamana miłością, spotęgowana następnie wyrzutami sumienia. Matka umiera wprawdzie, ale do końca jest to śmierć niekompletna, bo — chociaż z zaświatów — towarzyszy Cyrankowi stale: w majakach, w trumnie, z której podnosi się na własnej stypie, a także i na jawie, jakby, nigdy nie schodziła z tego padołu leż.

Czas zaciera się, umarli obcuja z żywymi, prowadzą zażarte dyskusje, wspominają, snują marzenia... Zmartwychwstaje nie tylko matka, ale także i siostra, wydana wraz z bratem przez Cyranka bandzie na śmierć.

I jeszcze ludzie w wilczych skórach, półludzie, półwilki, jak ich określa autorka. Wtopieni w pejzaż wojny gdzieś na dalekich kresach, grabią i mordują, piją i belkoczą o życiu i umieraniu.

Mogłoby się więc wydawać, że mamy w „Wijunach” jeszcze jeden obraz wojennego koszmaru z całym spłotem międzyludzkich powikłań. Albo też wyłącznie reminiscencje „czasu nieludzkiego”. Ale tak nie jest. Ewidentną ambicją Teresy Lubkiewicz było przydanie poruszonym kwestiom, całej tej dusznej problematyce, wymiarów uniwersalnych wykraczających daleko poza czas wojny. Wojna to tylko tło, skondensowany pretekst. Rzecz dzieć się może wszędzie, i o każdym czasie.

Mikołaj, naręczony Antolki, czyta po stypie z największym zainteresowaniem świeży numer „Przeglądu Sportowego”, w którym bystrzejszy widz może nawet dostrzec olimpijskie kółka z Innsbrucku. Także obficie serwowany alkohol to swojska żytniówka z kłosem. Błahe szczegóły? Nie sądzę. Wierzę w funkcjonalność najbardziej nawet marginalnego rekwizytu. Czemuś on przeciw służy. No, a w „dialogowym” tekście jest nawet mowa o telewizorze w kurnej chacie, czego nam Cywińska wspólnie ze scenografem Kazimierzem Wiśniakiem w przedstawieniu oszczędziła.

Przecinają się w sztuce różne poetyki. Swawolna makabreska z dramatem serio o najwyższym diapazynie, chwytły wyrażnie farsowe z elementami melodramatu. Faktura jest wyraźnie niespójna, co narzuca się zwłaszcza w ostatniej odsłonie, gdzie grzybów w barszczu zdaje się stanowczo zbyt wiele. Nie wybrzydźmy jednak: przybyła nam na pewno autorką, której pisanie wynika z istotnej potrzeby i własnych niepokojów.

Spektakl aktorski jest czysty, wyrównany i sprawny, mimo że co rola to zadanie trudniejsze. Wymieńmy: Cyranek Janusza Michałowskiego jest wieloznaczny, nie do końca dopowiedziany, groźny i żalony na przemian; Wanda Ostrowska gra Matkę wyraźnie przeciwko własnemu emploi, a jednak sugestywnie, przekonująco, bez przerysowań. Joanna Orzeszkowska jako Antolka odnosi kolejny sukces u życzliwej poznańskiej publiczności.